

G R Y F

Pismo dla spraw kaszubskich.

Wychodzi raz na miesiąc.

Abonament kwartalny w Rzeszy Niemieckiej z przesyłką pod opaską mk. 1,65
Na pocztach Rzeszy Niemieckiej mk. 1,50, z odnośzeniem w dom mk. 1,62

Za granicą wynosi abon. kwartalny: W Austrii 1 kor. 80 hal. z przesyłką 2,20 kor

W Francji, Belgii, Szwajcaryi: 1 fr. 85 centymów, z przesyłką 2 fr. 25 cent

W Rosji i Królestwie Polskim: 70 kop. z przesyłką 85 kop.

W Zjednoczonych Stanach Półn. Ameryki: 40 centów, z przesyłką 50 e.

Adres red.: „Gryf,” Kościerzyna-Berent Wpr. Wydawca Dr. Majkowski.

Drukiem H. Fellera nast. S. Czyżewskiego w Gdańsku.

Doktor Cejnowa.

(Dokończenie.)

Pomimo najzupełniejszego fiaska, jakie zrobił panslawizm na Kaszubach, Moskale nie mogą się odczepić od Kaszub, uważając bodaj mowę kaszubską za narzecze języka rosyjskiego. Już minister oświecenia Szyszkow znamienne i zapisania godne wypowiedział słowa w liście do Mrongowiusza: „Praca Pańska tak uczona i mozolna interesuje mnie w wysokim stopniu, już to jako zbogacenie filologii w ogólności, już to jako ważny przyczynek do badania różnych narzeczy mojej ojczystej mowy, która dla swojego rozgałęzienia bez wątpienia najbardziej rozpowszechnionym językiem na świecie nazwaną być powinna.“ *) Bardzo chodziło i chodzi panslawistom o odgródenie narzecza naszego od języka polskiego nową pisownią gdyby murem chińskim.

Redakcyja Przeglądu Powsz. odebrała z Pelplina pod dniem 10 lipca 1884 r. z „poważnego źródła“ dopisek do artykułu „Panslawizm na Kaszubach“ następujący:

„W lecie r. 1880 zjawił się w stolicy Kaszub, w Gdańsku, jakiś p. L....., pisujący artykuły w gazetach też pod nazwiskiem „Zielonka“, i zaczął tam czynić zabiegi celem wydawania tygodni-

*) Przedmowa do polsko-niemieckiego Słownika.

ka polskiego. Sp. T. J. z J., z którym się zetknął, doradził mu, żeby owo czasopismo wydawał raczej w Pelplinie w drukarni p. St. R. Ów p. L. zamieszkał następnie w J. jako gość p. T., a po 2 albo 3 miesiącach przeniósł się do Pelplina. Ów tygodnik miał wychodzić pod tytułem „Przedświt“. Ale gdy zwrócono uwagę na to, że prostemu ludowi zrozumialszą jest „Jutrzenka“, zgodził się na to. Sprawiono też już odpowiednią winiętę wedle rysunku malarza artysty p. St. L. Tymczasem oczekiwane każdego dnia z Polski kongresowej czy też z Rosyi kilka tysięcy rubli na wydawnictwo nie nadchodziły. Aby przyspieszyć sprawę, ułożył p. L. program owego tygodnika i przesłał go na to miejsce, z kąd rubli się spodziewał. Ów program, który mi został przeczytany, naprowadził mnie na domysł, że to agitacja panslawistyczna, bo głównym celem owego czasopisma miało być: „budzenie na tych kresach świadomości należenia do wielkiej rodziny słowiańskiej“ — tak mniej więcej brzmiał najważniejszy ustęp. Nadszedł r. 1881. Wydawnictwo było już na pocztę zapowiedziane, ale wstrzymaniem zostało dla braku rubli. W miesiącu lutym znikł nagle p. L. Dnia 13. marca zabity został car rosyjski Aleksander II. wskutek wybuchu wrzuconej mu pod nogi przez spiskowca bomby. Z niektórych słów p. L., powiedzianych krótko przed wyjazdem, można było wywieść wniosek, że już w grudniu 1880 r. zanosilo się na zmianę polityki rosyjskiej (zamach na cara Aleksandra II w grudniu) i że z tego powodu owych rubli nie nadesłano. O. *) Dla uzupełnienia i to dodaje, że ktoś z Galicyi, ale nie panslawista, zamierzał wydawać gazetkę i książki do nabożeństwa po kaszubsku pisane.

Nasuwa się pytanie: czy panslawiści zaszkodzili Kaszubom piśmami swemi? Pośrednio tak! Jakkolwiek wedle przysłowia »kto psa chce uderzyć, kij znajdzie«, z tem wszystkim bardzo na rękę, jeżeli można bezprawie czemś choćby uniewinnić. Wobec petycyi zewsząd, także i z Kaszub, wysyłanych o przywrócenie języka polskiego w religii, nauczyciele wiejscy w niektórych stronach, osobliwie w Kartuzkiem, rozbierali temat do opracowania i do wygłoszenia na konferencyach: „czy narzeczka kaszubska należy do języka polskiego?“ I orzekli wiejscy lingwiści na podstawie piśm Cejnowy i Ramulta, iż nie należy, jak z góry żądano.

Jakież tedy ostateczny rezultat tych dochodzeń? Sąd o Cej-

*) Przegląd Pow. r. 1894.



nowie jest surowy, ale sprawiedliwy, z tem wszystkim za surowy, ponieważ są liczne okoliczności, przemawiające za złagodzeniem sądu.

1. Pismami swemi, przepelnionemi wycieczkami przeciwko wszystkiemu, co nam święte i drogie, nie wiele zaszkodził, gdyż nie był czytany.

2. Dola naszej młodzieży jest politowania godną, jest nauka religii po gimnazyach, ale tak urzędowo udzielana i to przez księży Niemców i po niemiecku, że serca nie zagrzewa ani uzbraja dostatecznie przeciw pokusom podczas studjów na akademii, reszty dokonała lektura »filozofów« niemieckich, tak że we wierze zobojętniał a może nawet do czasu ją utracił, tem się tłumaczy jego gadanina na wiare i Kościół.

3. Z czworga dzieci pozostały dwie córki, obie dobrą Polki, choć matka katoliczka Niemka, dotąd żyjąca.

4. Przyjaciół miał dosyć, nawet pomiędzy księżmi, chociaż wielu tylko dla wielkiej oryginalności niebożczyka doń się skłaniało. Na Puckiej kępie, gdzie Sławoszono, był na jednym probostwie zniemczyły ks. Słazak, który rządowi dawał wskazówki, jak najłatwiej dzieci zniemczyć przez rozdawanie niemieckich książek do nabożeństwa przy pierwszej komunii św. W pośmiertnych papierach jego znalazło się pismo takie. Bijąc w księży, podobno tego proboszcza miał na myśli.

5. Był młody i krewki, coś przykrego zaszło z pewną pacjentką, córką magnata — nie ubito sprawy milczeniem, więc rząd pozbawił go na jakiś czas prawa leczenia, ztąd niechęć do szlachty i hrabiów.

6. Był wielkim miłośnikiem dzieł Mickiewicza. Jako Wallenrod chciał Litwinów oswobodzić od ciemności Krzyżaków, tak Cejnowa pragnął być kaszubskim Wallenrodem, co go zaprowadziło na bezdroża panslawistyczne.

Do kościoła chodził tylko w uroczyste święta. Posłano po księdza, kiedy zaniemógł, ale było już zapóźno. Miejmy nadzieję, że Bóg dobrą chęć za sam czyn przyjął.

Wobec zatrważającej liczby przyjaciół kaszubskiego narzecza nie będzie od rzeczy zacytować na zakończenie mojej rozprawy następującego artykułu:

„Pozwól szan. Redakcyo, że nie będąc Kaszubą, do rozciągniętego dziś sporu o „niedźwiedzią skórę“ Kaszubów dorzucę i moje trzy grosze.

„Gazeta Gdańska“ jest już z założenia swego pismem ludowym. I bardzo jej było dotąd do twarzy. Co za korzyść i dla kogo, że w pismach ludowych składają uczone kukawki, badacze języków“, jajka swoje? kto je ma wysiedzieć, kto spór o język kaszubski i co za tem idzie, o narodowość Kaszubów rozstrzygnąć, lud kaszubski? A może ten lud polski na Kaszubach, już i tak tu i owdzie oburzony na „badaczy“ jego mowy i uczuć powie: W on sobie wy farbierze, wy fałszerze wiekowej narodowości i skóry naszej! Czy my to dzieci małoletnie, niewolnicy, ludzie bez woli własnej i przekonań?! Chcecie się panowie bawić, badajcie mowy i gwary w książkach i pismach ściśle naukowych, lecz nie ludowych. Czy nasz kraik, który zamieszkujemy, co dopiero odkryty przez was, wy „sławni Kolumbusi“? Chcecie uchodzić za mężów uczonych, ocytanych, a nie wiecie, jakie jesteśmy narodowości? Twuj wam „mądrzy“ panowie! Ześmy od wieków Polacy i dziś pomimo odrębnej mowy naszej Polakami się czujemy, otwarciemy wszem wobec na licznych wiecach wobecności komisarzy policyjnych wyznawali. Tak np. na wiecu przedwyborczym 18 lat temu w Wejherowie, w Pucku po kilka razy, przeszłego roku w Chylonii, na zapytanie przewodniczącego wieca: „Kim jesteście, Polakami czy Niemcami? „Polakami!“ odpowiedzieliśmy chórem.

Tak zawsze bywało i dziś jest. A tu ni ztąd ni zowąd zjeżdżają się w ostatnich latach co pies szczeknie jacyś tam niby uczeni badacze skóry, serca i duszy naszej, gwałtem chcą w nas wmówić, żeśmy nie Polakami, lecz jakimś tam odrębnym szczepem! może chińskim?

Prawda, że rząd pruski ze względów politycznych wmawia także, ale nie w się — bo lepiej od p. Ramułta wie, że Kaszuba to Polak — lecz w Kaszubów, że są Niemcami. Wielu z Kaszubów musi w końcu i uwierzyć, że to prawda, co mu urzędnicy pruscy gadają, jeżeli nawet panowie, uchodzący za Polaków, uparcie piszą, że Kaszuba to nie Polak.

Gościłem u siebie — rozumie się szczerem sercem już coś czterech badaczy Kaszub, nie przypuszczając, żeby bliższe zaznajomienie się któregośkolwiek z tych badaczy z kaszubskim odłamkiem

Polski, mógł stać się dla ostatniego ujmą, dla całości szkodą. —

W bieżącym lecie przywędrował znowu, poparty z funduszów uniwersytetu, jakiś akademik z Kazania. „W jakim celu — pozwoliłem się go zapytać — pan w Kaszuby przybywasz?” W celu badania mowy kaszubskiej. „Aha, pomyślałem sobie, znowu nowa „w i s e k c y a Kaszubów! „Panie kochany“, zbywałem już zupełnie zniechęcony, chcesz Pan poprzeć czy odeprzeć p. Ramuła?” „Właśnie pragnę badać, czy p. Ramuła ma słuszość i na ten temat napisać rozprawę egzaminacyjną.“ Ciekawym, co ten młodzik, powaga ze szkolnej ławy, popisz o Kaszubach? Może i on wtoczy w ich krew polską domieszkę krwi indyjskiej lub japońskiej. Te ciągłe w ostatnich latach powtarzające się badania Kaszubów, jakby z wierza przez dpotopowego, jest wodą na miyn naszym najserdeczniejszym. Kalkulują oni tak: Zapoznany od własnej braci Kaszuba uwierzy w końcu i sam, że jest rzeczywiście Niemcem, jeżeli mu nawet „Polaki“ wmawiają, że nie jest Polakiem.

Kaszubi są częstką Polski tak dobrze, jak „Chelminiacy“, „Michałowscy“, „Borowiacy“, „Feteracy“, „Kociewiaci“, „Słazacy“. Jeżeli odrębna mowa, gwara Kaszubów, miałyby być dowodem, że Kaszuba to nie Polak, wtenczas i Kociewiak i Feterak itp. nie Polacy, albowiem tu i tam, tam jak tu, mówią językiem odrębnym.

Słyszę 30 lat mowę kaszubską, znam odcień mowy polskiej w Galicyi, w Chelmińskiej, w Kociewiach, Feterakach, w Poznańskiem itp, twierdzą więc z doświadczenia, iż najpoprawniej, gramatykalnie, książkowo po polsku, mówią właśnie Kaszubi. Kociewiak np. Feterak mówi: „szedł pies bez owies, suka bez tatarke“, albo jestem przez chleba“. Albo: „dwa baby umarli.“ Kaszuba nigdy przenigdy tak błędnie nie mówi. Kociewiak: p r e l i, g a d e l i, j e c h e l i, a powiedz Kociewiakowi, Borowiakowi: nie jesteś Polakiem! to cię w mordę lunie, że się nogami przykryjesz. Dziecinna to więc paplanina, jakoby odrębność w mowie stanowiła o odrębności narodowej.

Przysłuchaj się, jak mówi domorośli „kusznejder“, mieszkańiec z nizin tczewskich „Kortke“, z Gdańska lub z Berlina po niemiecku. Co za odrębność językowa, że się nawet sami Niemcy między sobą, jakby pod wieżą babilońską, porozumieć nie mogą. — A nie sąż to jedni i ci sami Niemcy?! *)

*) Gazeta Gdańska r. 1899 -- Nr. 129. „Kaszubszczyzna.“

Z niepisanej literatury kaszubskiej.

BAJKI KASZUBSKIE.

Bojka o zbujcu Czorlińscim.

(Dokończenie.)

Nostarszy zbujca, jak sę dowiedzol, jącym sposobem Czorlińsci okrodl żeda, nie zabiwsze go, pochwoleł go barzo i rzek:

— Z cebie je taci dobry złodzyj, jak jo sę nie spodzewol. Ale jutro pokożesz, cze te po prowadze co umniesz. Tu mosz dwadzescie talarów. Za te kupisz jutro w miesce: za 20 talarów wóz i konia, za 20 talarów chleba, za 20 talarów mnięsa, a 20 talarów przewiezesz nazod. ---

Corlińsci odrzek, że to mu nie je nic. Tak on sę wzał i na drudzi dzień szed do miasta. Na drodze on trafieł chłopą, co w jednego konia z wozem jachoł do miasta. Pochwoliwsze Boga, Czorlińsci sę chłopą zapytoł, cze on chce konia i wóz przedac. Chłop odrzek, że jo. Tak Czorlińsci mu bedowol 20 talarów, a chłop wóz i konia za to przedoł.

— Ale piniędzy jo cy niedom! — rzek Czorlińsci. Jidz le do miasta, tam mieszko muj brat balbierz, ten ce 20 talarów zapłacy! —

Tak chłop beł końtańt i szed.

Tero Czorlińsci wecań konia i zajechoł do miasta prosto do piekarza. Tam on kozoł so na wóz wladowac za 20 talarów chleba. Po zoplate on kozoł piekarzowi jic do swygo brata, co je balbierzem w mnięcie.

Potym on zajachoł do rzeznika. I tam on so kozoł za 20 talarów mnięsa wladowac, a rzeznika po zoplate posoł do swygo brata balbierza.

Nareszce on zajachoł do kaczmarza. Tam on so kozoł za 20 talarów piwa wladowac, a jak on chcoł zopłatę, tak Czorlińsci rzek, że noprzód muszy piwo posmakowac. Na to kaczmorz sę zgodzeł. Tak Czorlińsci wżan swider, taci gruby jak palc, wewierceł w jednym dnie beczci dure i w drudzim, a nareszce odjął dużą propkę z westrzodku i rzek:

— To piwo mo trze smaci. Wezle włóż palce w oba dure w dnach i tero posmakuj.

Kaczmorz mniol palcami dure zamkły i nimog jich więc wecygnać, bo belobe mu wszetko piwo uceкло.

A Czorlińsci tymczasem pojachoł so do dom. Ale z balbierzem on ju też miol wszetko ugodany, co on miol zrobic, ciejbę do niego przesze po zopłatę.

Jak więc przeszed ten chłop do balbierza, chteren to Czorlińscimu przedoł wóz i konia, i chcoł mniec 20 talarów, tak balbierz rzek:

Ju jo wiem, co za zopłatę te mog dostac. Te mosz miec głowę ogoloną! —

I wżan i mu głowę ogoleł na samą skórę.

Tede przeszed piekorz po zopłatę. A balbierz mu zaro rzek: Tobie jo werwie wszetci zębe, cobes móg chleb twuj lepij grezc! I wżan i werwoł mu wszetci zębe.

Nareszce przeszed rzeznik i żadoł swoję zopłatę, 20 talarów, ale balbierz mu rzek:

— Jo ce tu zaro zapłace, jak tym dwuma przed tobą. Te jes zbujca i mosz to miec wepolony na lesenie!

I wepoleł mu na tym miescu na lesenie, że on je zbujca. —

Tero oni trzei lamaanówele.

— Tero koždy mie na lesenie czetac będzie, że jo

jem zbujcą, — jisceł sę rzeźnik.

— Jak jo mom tero jesc, ciej jo nimom zębów? —
płakoł piekorz. —

— Moja szkoda je nowiększo! — lamańtowoł chłop,
— bo jo konia i woza sę pozbeł i za to jesz mom głowę
ogoloną! —

Ale to jim nic niepomogło.

Tymczasem Czorlińsci zajachoł do swych zbujców
i przewioz za 20 talarów konia i woz, za 20 talarów
chleba, za tyle mięsa, za tyle piwa i jesz oddoł 20 ta-
larów.

Za to go ten nowięszy zbujca srodze chwoleł. Ale
Czorlińscimu mierzelo ju u tych zbujców. Więc on jich
opusceł i szed do króla, abe mu złwiec.

Ale ty zbujce ju miele królowi barzo dokurczony.
Dlo tego król Czorlińscimu rzek, że do mu wiele pi-
niędzy, zeli on mu jich stawi. —

— To może bec! — rzek Czorlińsci.

Tak on kozoł so dac dwa żniwny woze pełne piwa
i jedno go chłop. Z tymi on zajachoł do zbujców. Ty
sę barzo uceszyle, a jesz barzyj, ciej ujrzeli dwa żniwny
woze, naladowany beczkami piwa. I zaczena sę srogo
pijateka. Jak oni sę tak upile, że nimogli na nogach
stojec, tej sę pokładle, chdze koždy beł i usnęle, jak pnie.

Ale Czorlińsci tyle niepieł, a swymu chłopu też tyle
nie doł pic, tak że ta pijateka jich niezmogła. Jak tede
wszesce zbujce spele, tej oni wzięle i pozwiązele wszet-
cich powrozami i nakładle jich na te woze, z chternymi
oni jim tego piwa przewiezle. Tede zaprzęgle konie i
dalij ze zbujcami do króla.

Po drodze coroz jeden z tych zbujców odecknie, ale
nimogli sę ruszec, bo bele pozwiązany. Czorlińsci ale

wzają się i ucek, nim do królewskiego zomku zajacheli, bo się boją, że go nie zdradzą, że on też był w ich kompanii.

Jak tedy dwa zwinny fōre zbujców przejechał do króla, ten kozoł ich zaro przeprowadzić do się. Tej on się zapytał:

— Chto z waju je tym nowszym? Na to ten nowszy zbujca westąpił i rzek: Jo to jem!

Tedy król w swoim gorzu kozoł wszetlich zbujców zabic, le tego nowszego on ostawił prze zecu, ale kozoł mu ocze wepolec.

Tak jak on ju miał ocze wepolony, zaczął on gadac:

— Tak to mie lecho jidze. Jo meszoł, że jo był nomądrzeszy ze wszetlich zbujców, ale Czorlińsci je chytrzeszy zbujca niżle jo. —

Jak król uczuł tę mowę, tak on go się pytał, chto to nen Czorlińsci je? Tej mu zbujca wszystko o nim opowiedzoł i dodoł, że on o siebie (nibe Czorlińsci) do jeszcze czuc.

Czorlińsci ale ucek i poszed w służbę do mniemieckiego kszędza.

Jak on tej z tym kszędzem szed roz we wieczór na szpacer, zrobiła się ciemno noc, a Czorlińsci rzek:

— Dzys be było dobrze pieniądze krascl — Tak nen mniemiecci kszędz odrzek:

— A chdze be te chcoł pieniądze krascl? — A Czorlińsci powiedzol:

— Jo wiem, chdze je wiele pieniędzy, a to je na królewskim zomku. — Pódzma! —

Tak oni szle. Czorlińsci wloz do murowanyj komore bez okno, a pieniądze werzucol. Jak on ju miał dosc werzuczone, tej wloz i poszle dodom.

Na drugi dzień rano, jak król poszedł do swojej skorbnice, tej uzdrzył, że wiele pieniędzy było precz. Tak on zaczął łamać i szchalować, ale ten ślepy zbujca rzek:

— Tego nic innego nie zrobię, jak Czorlińscy! —

Na to król się srodze rozgorzał i chciał dać szukać Czorlińskiego swoim żołnierzom, ale ten ślepy zbujca rzek:

— Na ten sposób we, królu, nie dostaniecie go, bo je za chytry. Ale deście w murze do wąjij skorbnice, coby chłop mógł przez nią przeleźć, a za tą durą zrobcie głęboci doł i postawcie obok żołnierza z toporem. Jak on przyjdzie coś krasc i wetchnie łeb, tej niech mu go żołnierz od razu utnie. —

Ta rada zdała się królowi dobrze, i tak też uczynili.

Mineło tak parę dni, a zoden złodziej się nie ukazał.

Żałujący jednego dnia rzekł do Czorlińskiego:

— Podźmia dzisiaj znowu do zomku pieniądze krasc! —

Ale Czorliński odrzekł:

— Ja dzisiaj nie idę, bo mogło mi być źle! —

Ale żałujący się uważał i szedł sam.

Ledwo on głowę przez durę wetknął, już żołnierz, co tam czatował, ucał mu ją jak głowę kapuste, i było po nim. Głowa ale wpadła w ten głęboki doł i tam też została.

Nad ranem, jak królowi dało znać, że złodziej był w nocy krasc i teraz jest zabity, obezdrzeleli się trupa żałującego, ale nic go nie poznali, bo był bez głowy. Teraz oni nie wiedzieli, czy to Czorliński albo nie. Ale ten ślepy zbujca rzek:

— Ja nie wierzę, że to był Czorliński. Tacy oni nie! Ale włóżcie coś na wóz i obwieźcie po mnie-

sce przed koždy budynek. Ciej kobieta tego złodzeja to cało uzdrzy, tej ona zacznie beczec, a potym poznota, chto on je i chdze on mieszko. —

Tak też oni zrobile i obwozyle cało po mniesce. Jak oni przejechele do budyńku, chdze mieszkała żona predycha, tej ta go poznala po obucu i zaczęna krzyk robic. Tej oni je chcele chwytać, ale Czorlińsci przeskoczel, zakłof se szedłem w duży palec i rzek:

— Co wa chceta? Kobieta krzyczy, bo jo jem szewc i se ukłofem szedłem w palec, a ona nimoże na krew patrzec! —

Tak oni mu uwierzyle i jechele z niczym do króla nazod.

Tak król se bardzo zafrasowof. Ale nen slepy zbujca doł taką rade:

— Wezta tego trupa i zawiezta go pod szubinicę. A postawta kole nij szesc żołnierzy. Czorlińsci przyńdze, be trupa pochowac, bo on nimoże tego zniesc, żebe trup niepochowany leżof. A jak on przyńdze, tej niech go żołmnierze chwecą. —

Tak też uczynile. Szesc żołmnierzy odwiezło trupa pod szubinicę i czekele, jaż se cemno noc zrobiela.

Tej zjawiel se i Czorlińsci. Ale on beł za babę przestelowany i mniol ze sobą szesc obuców biskupich.

Żołmnierze mnieli so odziń zrobiony i se prze nim grzele, a jak uzdrzele kobietę, to jij dele poku, bo równak oczekiwela Czorlińscigo. Tak ta nibe baba rzekła do nich:

— Jo mom jesz daleką drogę, a jem srodze zmarzła. Dejta mie se zagrzoc prze wajim ogniu, jo wama za to dom też po cieliszku wódcu. —

Oni se na to zgodzyle i wepile też tyj wódcu. Ale

ledwo oni wzięli, ju jim się tak zachcało spac, że usnęło drewnem gorącym. Jak oni spele, tej Czorliński wziął, scygnął jim żołniersci ruchna i obuł jich w biskupi szate i tej doł jim dalij spac. Potym pochował tego trupa i szed precz.

Nad ranem żołnierze się zbudzyle i widząc, że trupa nima, szle nazod do króla. Król prawie był po fryszteku i zdrzoł przez okno. Jak on widzoł szesc biskupów jidących do zomku, wziął on chyże koronę na głowę i berło w rękę i weszed jim przed dwierze naprocem.

Ale to niebele zodny biskupe, le ny żołnierze, chternych Czorliński tak przesztelował.

Tero ten slepy zbujca rzek:

— To nieje niczyja sprowka, le Czorlińscigo! Ale wezta i posepta przed zomciem piniędzy na zemni. On nie utrwó i przyńdze je zbierac i tej go chwecta. —

Tak król kozoł przed zomciem posepac piniędzy. Ale Czorliński wziął so posmarował smołe pod bóte i szed wedle zomku i piniędze mu się lepiele do botów. I tak oni go znowu nie dostele.

Tak król, be nareszce uchwecec Czorlińscigo, nie wiedzol jinaczyj, le rozgłoseł po całym mniesce, że wszesce chłope miele przyńdz na zomk i powiedzec swoje przezwisko. Tak on mesłoł się dowiedzec, chto miedze nimi będzie Czorliński. Ale Czorliński szed do wszetcich chłopów i doł koźdymu po sto talarów (bo wiele piniędzy mioł nakradłych) i kozoł jim rzec, że się nazewają Czorlińscimi.

Jak tej wszesce chłope stanęle przed królem, tak się wszesce nazewełe Czorlińscimi.

Tak król nie wiedzol so rade i widzoł, że on zondną miarą Corlińscigo nie złapi. Tak on rzek:

Chto miedze wami je ten prowdezwy Czorliński, ten

niech westąpi dobrą wola. Wszetko mu będzie darowany. Bo on je taci mądry chłop, że nicht jinszy nimo po mojj smierce królestwem moim rządzec, jak on. A za żonę jo mu dom moje jedyną córkę! —

Na te słowa króla Czorlińsci westąpiel i rzek: To jo! — I królowoł długo po smierce starygo króla, bo beł barzo mądry i nicht go w niczym nie oszukoł. A z królewionką oni weprawile duży weseli, a jo też tam beł, bo tam dało wiele kapuste i jazdżów i grochu.

Pieśni kaszubskie.

I.

1. Miał pewien ojciec trzy córy,
Nie wiedział, ile dać której.
A gdy tę pierwszą wydawał,
Trzy tysiące jej mianował:
Córulo moja daję ci,
Nie opuszczaj mnie do śmierci.
2. A gdy tę drugą wydawał,
Dwa tysiące jej mianował:
Córulo moja, daję ci,
Nie opuszczaj mnie do śmierci.
3. A gdy tę trzecią wydawał,
Zielony wianek darował:
Zielony wianek daję ci,
Nie opuszczaj mnie do śmierci.
4. A nasza matka w grobie spi
Naszego głosu nie słyszy,
A nasz ojczulek staruśki,
Jako gołębek siwuśki.
5. Poszedł do pierwszej i płakał
I tak żałośnie narzekał:
Już ja nie mogę nic robić,
Nie dajże ty mnie zebrać iść.

6. Ta skoro ojca uzdrzała,
Zaraz mu powróż podała:
Kiedy nie możecie robić,
To idźcieże się powiesić.
7. Poszedł do drugiej i płakał
I tak żałośnie narzekał:
Ja już nie mogę nic robić
Nie dajże ty mnie zebrać isć.
8. Ta skoro ojca uzdrzała,
Zaraz mu kija podała:
Kiedy nie możecie robić,
Możecie jeszcze zebrać isć.
9. Poszedł do trzeciej i płakał:
I tak żałośnie narzekał:
Ja już nie mogę nic robić,
Nie dajże ty mnie zebrać isć.
10. Ta, skoro ojca uzdrzała,
Zaraz mu chleba podała:
Skoro nie możecie robić,
Dzieci będziecie mi bawić.

(Rotębark.)

II.

1. Daleko szeroko
Listeczki na klonie,
Któż mnie pożałuje
W tej dalekiej stronie.
2. Ojciec mnie odumarł,
Matka starusienka,
Brat na wojnę jechał
Siostra malusienka.
3. Ażeby ja była
U swej mamy dłużej,
Wyglądałabym ja
Jako wianek róży.
4. A teraz wyglądam
Jak biała lilija,

- Wyjdę na górcezkę,
Wiater mnie podwija.
5. Wiater mnie podwija
Wiater mną szamoce,
Ach, mój najmilejszy
O mnie się kłopoce.
6. O mnie się kłopoce,
O mnie się frasuje,
Żadnego słoweczka
Odemnie nie czuje.
7. Żadnego słoweczka
Ani żadnej myśli. —
Ach, mój najmilejszy
Już o innej myśli.
8. Niechże sobie myśli,
Nie będę mu bronić,
Wyjdę na górcezkę
Jak mu będą dzwonić.
9. Wyszła na górcezkę
Usłyszała dzwony
Ach, mój najmilejszy
Do grobu wieziony.
10. Niechajże go wiozą,
Ja żem tego chciała,
Aby żadna inna
Pociechy nie miała.

(Juszki.)

III.

1. Pani Matko gosce jadą! —
A na cimże oni jadą?
Murawiec na byku
Jego brat na wilku,
A muj najmilejszy
Na pięknym koniku.
2. Pani matko, co oni będą jesc? —
Murawiec wierzbinę,

Jego brat kozłinę,
A twuj najmilejszy
Smaczny pieczyńie.

3. Pani matko, chdze oni puda spac?

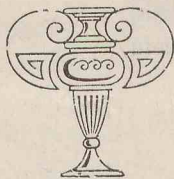
Murawiec na ławę,
Jego brat pod ławę,
A twuj najmilejszy
W piękny łóžeczko.

4. Pani matko, czym oni sę nakryją?

Murawiec chodaciem,
Jego brat korczociem,
A twuj najmilejszy
Piękną pierzyną.

5. Pańi matko, gosce dżekują.

A jak oni dżekują? —
Murawiec czapkę zdją,
Jego brat ż — wepią,
A muj najmilejszy
Pięknie sę ukłonił.



Nigde do zgube nie przyńdą Kaszube.

Obrazek z Kaszub. Napisał

(Ciąg dalszy)

Nikt tego wieczora nie płacił. Przyszło więcej wieczorów, pili i jedli u Różka, a nikt nie płacił. Szkapa Wojtka już po raz drugi musiała odstąpić część swojej ozdoby do smyczka Lali. Zima przeszła na muzyce, jeździe i piciu, jakby batem trzaśł.

Zdarzało się, że gbur zgadawszy się z sąsiadem, pomacał się po brzuchu, oświadczając:

— Żodnyj zeme jo jesz o tyle pasa nie popusceł, jak latos!

— Dobry kaczmorz! — odpowiedział sąsiad. — Szkoda, że on prędyj uńdze niż przeszed.

I śmieli się obaj jak augurzy. —

Już trzy wieprze wisiały w formie kielbas na suficie, albo raczej szczątki po nich. Z niepokojem karczmarz Horn spoglądał na ginące zapasy.

Minęła i św. Matka Gromiczna, skowronki jęły śpiewać, wiosna się zbliżała. a z nią najgorszy czas dla gbura.

Komu na Kaszubach wyjdzie wtenczas za wczesnie albo pasza albo kartofle, o tym mówią sąsiedzi, że doń zawitał „Jochem.“

Nazwę tę nadał, jak mówią, niemiłemu temu gościowi pewien gbur, który pojechał do miasta kupić kartofle i paszę. Było to na wiosnę. Wiozącego kartofle i paszę spotkał znajomy i pytał zdziwiony, co wiezie. Gbur obawiając się obmowy, że źle gospodarzy, powiada: Żyda Jochema z towarem! —

Wydało się atoli, jaki to był Jochem. A po dziś dzień, Jochem — to używany ogólnie terminus technicus, którego znaczenie fatalne znane.

Otóż na wiosnę nie było tajemnicą we wsi Czorniezu, że u karczmarza siedzi Jochem. —

Kłoby też na długo taką gospodarką mógł się utrzymać! Lala grał, aż smyczki liniały, a ludziska jedli, pili i — tyli.

Kiedy Horn rozesłał rachunki, karczma jakoś opustoszała. Tylko Lala przybywał regularnie, ale nie miał już komu grać. Grał więc Ojcu św., duszyczkom w czyszczu i murzynowi.

Pewnego dnia podczas Lalowej muzyki, kiedy innego gościa prócz co dopiero wymienionych nie było w karczmie, zawitał jakiś gość z urzędową czapką, który się przedstawił jako komornik sądowy. Pan ten z niebywałą ciekawością oglądał cały dom i każdy sprzęt w nim się znajdujący. Porozlepiał na kilku przedmiotach niebieskie pieczętki i nareszcie zbliżył się do Lali, pytając, czy też skrzypce, flet i bas są własnością Horna.

— Nie, to są nasze! — odparł Lala.

Potem gość, zimno się pożegnawszy, odjechał.

Wizyta, co dopiero ukończona, nie bardzo się wiodocznie spodobała Hornowi, bo wyszedł niebawem na izbę z grubym, sękatym kijem. I stała się dziwna rzecz. Zamiast się rzucić z owym kijem za odjeżdżającym natrętem, wpadł jak opętaniec jaki na Lalę i towarzyszy.

Lali, który po pierwszym osłupieniu zaczął się zasłaniać potężnym smyczkiem, przeciął Horn ten przyrząd na dwoje, wybił basowi dziurę w brzuchu, skaleczył skrzypce i wyrzucił biednych muzykantów nareszcie za drzwi.

Ruiny kapeli Czornieskiej, głośno zawodząc, ciągnęły przez wieś. Pierwszy ich spotkał Wojtk.

— A cóż się wama stało?

— Różk naju weporajeł, bo go dzys fantowe! —

— To go fantowe!

— A jakże! Ale coż ma temu winny, abo naju in-sztrumańta?

— Oj, doł on nom polsci miare za naju grani! —
lamentowali towarzysze Lali.

Wojtk zaś ich pocieszał:

Będzta le cecho! Nie uńdze to mu suchym pęciami!

IV.

Wysunięty w czysto kaszubską wieś posterunek niemiecki zaczął się chwiać. Widzieli to dobrze ci, którzy Horna czyli Różka na plac ten wysunęli. Różk nie znał obchodzenia się z Kaszubą, a kiedy skarżąc się przyszedł do wojta, ten, od dłuższego czasu urzędując w tych stronach, od razu przejrzał politykę Czorniezan czyli ściśle mówiąc landrata doraby.

— Dług swój oni zapłacą! — rzekł on Hornowi. Lecz kiedy, w tym tkwi sęk. Wiedzą, że nie masz kapitału i chcą ciebie zmusić, ażebyś znowu karczmę odprzedał dawniejszemu właścicielowi i poszedł od nich precz. Skarż ich coprędzej, abyś jak najprędzej wydusił z nich coś grosza. —

Skoro skarżę, to cała wieś przeciw mnie powstanie, bo musiałbym wszystkich skarżyć.

To skarż znaczniejszych! —

Rozciągną proces w nieskończoność, bo powiadają, że im ich na wieczory zapraszał. A zaproszony gość nie płaci! —

Ah, niegodziwość polska! —

Ani chwili tym dwóm pionierom niemczyzny nie wpadło na myśl, że niegodziwość tkwi właśnie po ich stronie. Że byt karczmarza Horna wyrośnie na krzywdzie Wojtka, który wracając z walki o ich wielkość, z ojczystego mienia został wyzuty; że tak zwana niegodziwość polska Czorniezan była tylko jedynym skutecznym sposobem w obronie swego współrodaka, nie chwalebny ze stanowiska etycznego, zrozumiałym atoli z trybu samozachowawczego. Fif za fif! powiedział Doraba, — co znaczy: Podstęp za podstęp!

Takie myśli nie powstały w głowach tych dwóch ludzi, z których wójt zaciekle gryzł węża, drugi zaś ponuro patrzył w ziemię. —

— Firmy, które mi dostarczyły towaru, nie chcą czekać! — zaczął znowu Horn. — Raz już mnie fantowano. Za cztery tygodnie najdalej wszystko przepadnie!

— Nie masz może przyjaciela, któryby ci pożyczł? —

— Nie mam tu nikogo, bo wiecie przecież, że pochodzę z Pomeranii! — I w nagłej wściekłości dodał:

— Djabli niech porwią tych, co mnie tu sprowadzili!

— Nie przeklinaj, panie Horn! Jesteś żołnierzem na przedniej straży. Wytrwać twoim obowiązkiem. Nasi obmyślą środki, aby podeprzeć takich jak ty. Tymczasem atoli nic ci pomódz nie mogę.

Jest to wasze ostatnie słowo? —

Tak! — A pamiętaj, że żołnierzowi umrzeć na posterunku chwałą, uciekać wieczną hańbą!

Horn odszedł, wójt zaś już wiedział, dokąd jego droga pójdzie.

Zadumał się głęboko.

Twardy naród i chytry. — Ha! padnie jeden żołnierz. Popehniemy drugich w ogień — lepiej uzbrojonych. —

Pewnego dnia przyjechał Doraba do Horna!

Horn go przyjął bardzo ponuro i wprost nieprzyjaźnie!

— Wiem jo, Różku, że Jochem u ciebie sedzy! — zaczął landrat Doraba.

Horn ale wybuchł:

Wszyscy wy oszukańcy i złodzieje! — Darmo was żywiłem przez całą zimę, a teraz mi podstawiacie nogę, wy hołota kaszubska!

Mało ludzi widziało Dorabę w uniesieniu. Zachowywał on w trwodze i wesołości swoją powagę, niezmaconą jak jeziora ziemi kaszubskiej w białych nocach księżycowych. Tak dalece ale ubodły zelżywe słowa Horna tego prostego oracza i rybaka, że porwał się jak niedźwiedź dziki, podniósł wielką ławę, stojącą u pieca, na której sześć chłopów mogło usiąść zimową porą plecami do ciepłego pieca, i zamierzywszy się nią nad głową Horna, zawołał głosem zmienionym od wściekłości:

— Na Matkę noswiętszo! Mów, że to nie je prowda, cos rzek, bo ubiję cę na tym miescu, jak sobakę!

I stanął nad nim, wysoki i straszny. A Horn nie wąpił ani chwili, że wypełni swoją groźbę. Więc trwoga zimną falą uderzyła mu w serce, nim atoli zdołała mu ubezwładnić kolana, rzucił się w tył do alkierza, obok izby i szybko drzwi za sobą zatrzasnął. I tak uszedł śmierci, która go w tych progach minąć nie miała.

Doraba zaś jeszcze chwilę stał w zajętej postawie. Potem z ogromnym trzaskiem spadła ława na podłogę, a Doraba, mocno sapiąc jak pijany, opuścił karczmę.

Nikt go tego wieczora nie widział we wsi.

Nazajutrz zjawił się Wojtk.

Horn był mrukliwym, jak zawsze w ostatnim czasie, lecz wobec Wojtka trochę się rozpogodził. Czy może czuł, że właśnie jemu wyrządził największą krzywdę, pozbawiając go kawałka chleba? —

Wojtk miał interes, a bardzo ważny podług swego mniemania. Więc nie umiejąc robić długich wstępów, zaczął:

— Różku, chcesz te mie moje karczmę nazod odprzedac?

Horn dziko wejrzał na Wojtka: T w o j a karczma? Tymczasem je ona moją. —

— No, niech i tak będzie! Chcesz te mie twoje karczmę odprzedac?

Nie! — szorstko odparł Horn.

Wojtk był zdziwiony. Wszak wiedział, że Horn tylko że wisiał. Lada chwila groziła mu subhasta. Mniemał więc, że Horn chce się tylko targować, więc zaczął:

— Nie utrzymosz się u naju, Różku! Sprzedadzą cę na subhasce i jesz stracysz. Jo cy bem zapłaceł nawetk i więcyj, niżle te mie doł. Naszy gburze też cy zapłaca, skorno pudzesz od naju precz, bo boją się grzechu.

— A tymczasem chcą dać się skarzec. — Złodzeje!

Kto tu złodzejem? Boczże, Różku, co mówisz! Cze ma ciebie do się prosyle?

— Koždy karno się broni przed wilkiem. Te jes mnieme, ma są polsci. Ma tu jak jedna rodzena we wse, ciey jedynmu się dzeje krzywda, wszesce się burzą. —

— Pasem waju całą zeme, a te godosz o waszyj krzywdze.

— Mnie te zrobieł krzywdę, mnie! — krzyknął Wojtk.

Służełem królowi, jak te. Biełem się z Francuzem jak te. Podatek płacę jak te. Ojc muj i praoje sedzele na tyj karczmie, a jo prawem boscim i ludzcim je dostał w spodku. Jesz kurz zemi francuseij sedzoł na myj skórze a dym prochu w moich włosach, cie j odebrołem cerogrof, co mię pozbawił chleba. Czeko na mie potcewo dziewczyna, z chterną chołem dzelec dach i strawę na stole. A tezes wsod w to gniozdo, jak gróbel w gniozdo ja-skółci. Komu tu krzywda? —

Horn milczał ponuro!

Wojtk się zmitygował:

— Mniyje rozum, Róžku! Cuz ce to wszetko pomo-
že. Joc zapłacę dobrze. I wyńdziesz od naju jesz z do-
brym zarobciem. Ise te tak a tak muszysz.

— A jo niepudę! I Róžk wstał i rąbnał pięścią w
stół. — Nein, und tausendmal nein!!

Wojtk także wstał:

— Chto nie słucho dobryj rade, niech słucho psy
skóre! Bogu eę oddaje, Róžku! —

Dziwna to była ta zawziętość Horna. Czy on się uważał za żołnierza na forpocztach? Czy on też powie-
dział sobie pod adresem swych protektorów: Postawili-
ście mnie na stracone miejsce, niech wina za wszystko
na was spada? —

Jaki tam powód był, dość, że Horn już nawet o
gości nie dbał, bo pewnego dnia ci, którzy przyszli do
karczmy, znaleźli wszystkie drzwi zamknięte na klucz.
Na pukanie nikt nie odpowiedział. Wieczorem nie było
światła w oknach, które jakoś ponuro czarnymi źrenicami
patrzyły na wieś. Nawet Wojtkowi, który przyszedł zaś
targować z Hornem, własna jego karczma, w której się
przecież rodził i urósł, wydawała się jakąś obcą i stra-

szną. Rzekł sobie atoli w duszy, jako i inni: Pewnie Różk poszedł chdze na wies po detci!

W nocy nastala burza straszna, jakiej ludzie od dawna nie pamietali. Wieśniacy, słyszac žalosae przeciągłe wycie wichru, strzęśli się, nim wleźli pod pierzynę i żegnając się krzyżem świętym, niejeden rzekł:

— Wieje, jakbe się kto powiesił!

I psy wyły straszliwie przez całą noc!

Nazajutrz przyjechał Doraba do Wojtka!

Już na drodze wiejskiej witali go ludzie:

— Różka nima! On gwesno chdze jachoł po detci!

Do Mniemców!

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Książki i Czasopisma.

1. Mitteilungen des Vereins für kaschubische Volkskunde. Im Auftrage des Vereins herausgegeben von Dr. F. Lorentz und J. Gulgowski, Heft III. Leipzig. Otto Harrassowitz 1909.

Trzeci zeszyt »Mitteilungen« przedstawia się bardzo kożytnie, a to głównie z powodu pracy J. Gulgowskiego o domkach gburских na Kaszubach, illustrowanych tablicą z 8 różnymi typami domów podcieniowych. Razem z pierwszą częścią tej pracy, drukowanej w II-im zeszytzie »Mitteilungen«, przedstawia się ciąg dalszy, zawarty w niniejszym zeszytzie, jako całość, obejmująca domy podcieniowe, więc możemy przystąpić do jej omówienia, i to szczegółowego, na jakie tak praca sama jako i rzecz zasługują bezsprzecznie.

Praca nosi tytuł: „Das Bauernhaus in der Kaschubei“ (Domy gburские na Kaszubach), ale jak ze wstępu już wynika, Autor ogranicza się na pewne tylko i charakterystyczne formy, dzieląc typy domów na 1) chaty z podcieniem czyli wystawkim w szczycie 2) chaty z wystawkim w boku 3) chaty kurne 4) tak zwane domy szlacheckie.

Już na podział taki nie pisalibyśmy się bez zastrzeżenia, gdyż wynikałoby z niego, że poza chatami wystawkowymi nie

istniały inne formy chat, mianowicie bezwystawkowe, jak tylko »tak zwane domy szlacheckie« Czyżby Autor wszystkie typy bezwystawkowe, które bezsprzecznie równocześnie z wystawkowymi istniały, chciał podciągnąć pod kategorię „domów szlacheckich“?

Oczekujemy jeszcze ściślejszego określenia tego ostatniego typu i to z wielką ciekawością, gdyż nie słyszeliśmy jeszcze wśród ludu takiego terminu na oznaczenie pewnego typu chałup.

»Ogólny pogład«, z którym Autor rozpoczyna swą pracę, zdradza znajomość rzeczy. Nadmienia n. p., że obok ociosanych bierwion znajduje się w starszych budowlach z drzewa budowę z nieociosanych okrągłaków. Opisuje przejście z budowania wieńcowego w nowszą formę ramowego, zna dokładnie materiał, sposób kładzenia dachu słomianego, podział domu, zawsze atoli w odnośzeniu do typu wystawkowego. Brak Autorowi atoli poglądu na gienezę, na powolne wytworzenie się typu obecnego chaty gburskiej. ---

Nie ulega bowiem wątpliwości, że chata ludu naszego rozwinęła się z form dawniejszych pod wpływem zmian społecznych, klimatycznych, gospodarczych. Tak samo jak ciało zwierzęce w czasie swego rozwoju z zarodka do ustalonej w naszej dobie formy nosi ślady dawniejszych swych form, które stopniowo utracą, tak że nareszcie z trudem ich ślady wynaleźć można, tak i chata ludzka w dzisiejszej formie dla oka, które w jej formach czytać umie, zdradza niejedną szczątk dawnych konstrukcyi i form, które obecnie zdają się być czemś zbytecznym. Wszak jeszcze dzisiaj z drzewa budowana koliba huculska, ośmiokątna, zdradza swoje pochodzenie od okrągłego namiotu stepowego. Tu drzewo nagięło się do formy bardzo jego naturze niewygodnej. Niedługo atoli dając się gwałcić, podyktował długi prosty pień cisu i sosny w słowiańskich ziemiach ludziom formę czworoboczną, która przetrwała do dni naszych.

Pierwsze takie czworoboczne chaty oczywiście były kładzione z okrągłaków nieociosanych, stosownie do nierozwiniętej umiejętności obrabiania drzewa. Ażeby wtedy na czterech rogach się trzymały mocno, łączono je tam na tak zw. z r ą b i w y r ą b, sposób, który u starszych chat w zapadłych stronach Polski dziś jeszcze obserwowac można.

Wiązanie pni „na zrąb i wyrąb“ polega na tem, że krzyżu-

jące się na węglach pod prostym kątem pnie wychodzą każdy w swoim kierunku o kawałek po za węgiel. Tam, gdzie się krzyżują, jest „wyrąbione“ wyźłobienie, na które kładzie się krzyżujący okrągłak odpowiednio wyźłobionym „wyrębem“.

Tak powstaje powoli ściana domu, podczas gdy na rogach tworzą się schodzące się pod kątem prostym dwa grzebienie, złożone z wystających końców okrągłaków. Części te, integralne tymczasem, węglów, wystawione na wpływ słońca i deszczu, zaczynają próchnieć, przez co dom traci na spoistości. Więc człowiek, wydoskonaliwszy powoli swą sztukę obrabiania drzewa, ucina te końce wystające a łączy na węglach obcięte już pnie w szczelnie chwytające się zęby, na tak zwany zamek, przez co powstaje węgiel ostry i gładki. Taki sposób techniki budowniczej w drzewie spotykamy dziś niemal wyłącznie na Kaszubach, podczas gdy w wschodniej Rosji jeszcze istnieje budowanie starsze na „zrąb i wyrąb.“

Rozumie się, że i niektóre chaty kaszubskie noszą jeszcze ślady dawniejszej, prymitywnej techniki. Tak np. stoi po dziś dzień jeszcze w Tuskowach (pow. kościerski) chata, która na dwóch węglach budowana na „zrąb i wyrąb“, podczas gdy dwa inne (od frontu) rogi są złączone na „zamek.“

Gdyby Autor „Domów gburskich na Kaszubach“ z tego punktu patrzył na dzisiejszą chatę kaszubską, toby mu nie wydarzył się taki lapsus, jak na str. 65 zeszytu II „Mitteilungen“, gdzie mówiąc właśnie o wystających na węglach końcach belek, — rudymentów opuszczonej techniki dawnej, jak wykazaliśmy powyżej, — twierdzi, że zrobiono tak, „um den nützlichen Mäusevertilgern die Möglichkeit zu geben, von draussen her auf den Bodenraum zu klettern.“ (Aby pożytecznym łapaczom myszy dać sposobność wejścia z zewnątrz na poddasze).

O ile znamy stosunek Kaszuby dozwierząt swych domowych, szczególnie do kota, to musimy wyznać, że tyle względów on by nie wziął na to bez wątpienia pożyteczne zwierzę, ażeby przy budowie chaty pomyśleć o ułatwieniu mu roboty. Więc już i z tego względu tłumaczenia Autora przyjąć nie możemy.

Tak samo stanowczo wystąpić nam wypada przeciw twierdzeniu Autora (Zesz. III. str. 88), jakoby frankońscy koloniści, przywołani przez Krzyżaków, nadali naszej kaszubskiej chacie pod-

cieniowej swój charakter. Twierdzenia takie podniósł budowniczy B. Schmidt z Malborka w piśmie „Die Denkmalspflege“, Roczn. IX, Nr. 7; Berlin, 20 maja 1907, a Autor w formie, jak przyznajemy chętnie, nieśmiało, przyłącza się do tego zdania. Sprowadziliśmy sobie odnośny numer tego pisma i spostrzegamy z dziwieniem, że B. Schmidt, porównując chatę kaszubską z Wdzydz (z wystawkiem przez cały bok idącym) z chatą niemiecką z pod Bischofswerder (?) w dawnej Pomezanii i konstatując ich pokrewieństwo, uczynił to z tym samym prawem, z którymby można podobieństwo stwierdzić pomiędzy ulem a balią. Chata niemiecka jest o wiele większa, pod dachem jednym mieści się mieszkanie gospodarza i stajnia dla bydła, a wystawek jest z boku przyczepiony, jakby coś obcego. W chacie Wdzydzkiej natomiast wystawek tworzy część integralną chaty, na słupach wystawka opiera się szczyt, a miejsca dla bydła już nie ma, bo Kaszuba z reguły nie mieszka z nim pod jednym dachem.

Dziwi nas, że Autor, skądinąd znawca i załóżony około ludoznawstwa na Kaszubach, mógł się pisać na zdanie Schmidta. Przypuszczać przecież nie chcemy, jakoby chciał mały ukłon zrobić w stronę tych, którzy Słowianom nie przyznawają żadnych właściwości twórczych na polu kultury, tłumacząc wszystko dodatnie wpływem niemieckim.

Przystąpmy teraz do typów chat wystawkowych, podanych przez Autora. Jest ich 8. Do każdego typu jest podany rys poziomy i doskonała ilustracja podług zdjęć, przeważnie przez Autora samego zrobionych. Obrazek nr. 5 z Bożąmęką na przodzie zdradza wprost oko artysty. Natomiast przy rysach poziomych odczuwamy brak dokładnych rozmiarów. Są one konieczne potrzebne, jeżeli zważymy, że pierwotnie dom szlachcica różnił się od chłopskiego tylko większemi rozmiarami.

Za mało też zdaniem naszym Autor zaakcentował odrębność typu chaty w Leśnie (przy Brusach) od reszty podanych typów. Chata ta bowiem okazuje wielką odrębność od znanych nam chat kaszubskich nie tylko w szczegółach, ale i w całym układzie. Komory bowiem czyli alkierze nie znajdują się po bokach izby, jak to się zazwyczaj widzi, ale zajmują koniec przeciwny od wejścia, przypominając rysem poziomym rozkład świątyń starogreckich.

i komory grobowej w Karleby. Oprócz tego słupy wystawkowe łączą się z poprzeczną belką nie zastrzałami, których wiązanie jest z zewnątrz widocznym, ale czopowanymi podporami.

Niemożemy się też zgodzić na hipotezę Autora, podług której chata w Wyrównie (str. 95, zes. III i ilustracja nr. 7) pierwotnie miała podcienie w rogu. Same porównanie odnośnych rozmiarów przeczy temu.

Autor sam powiada, że praca jego nie wyczerpuje wszystkich typów. Słusznie! Znany nam jest cały szereg odmian chat wystawkowych, z których wynika, że Kaszuba okazywał wielką samodzielność i twórczą rękę przy budowaniu swej chaty, czem upadają wszelkie twierdzenia takie jak Schmidta, jakoby kolonista niemiecki nauczył Kaszubę dopiero budować po ludzku.

Co do pracy atoli Gulgońskiego, to jest ona mimo tego, co nam w niej krytykować wypada, ważnym krokiem naprzód w pracy nad poznaniem ludności kaszubskiej i czynem uznania godnym. Jest to pierwsza praca, która obejmuje pewną grupę chat kaszubskich i bez wątpienia przyczyni się niemało do wykorzenia fałszywych pojęć o wytworczosci szczepu kaszubskiego.

Prócz pracy Gulgońskiego zawiera zeszyt III. Mitteilungen krótsze studjum O. Knoepa o »Bielbogu" i »Czernobogu" na Pomorzu. Potem zbiór przysłów z Chmielna, podanych przez p. Pintusa, i zwroty językowe z okolicy Wejherowa. Dalej »raczbę" na wesele kaszubskie i recenzje.

Rozmaitości.

Bojkot Sopotu a hakatyści. Kiedy zeszłego roku Warszawianin ryzykował obicie lub splunięcie pogardliwe w twarz, jeżeli na dworcu kolejowym na zapytanie: dokąd? odpowiedział: do Sopotu!, żal i gorycz mogły napęlić każdego, kto kocha kresy nasze kaszubskie. Cóż bowiem bojkot Sopotu, z takim nakładem energii i zapału propagowany, oznaczał innego, jak powtórzenie w drobnych rozmiarach tego, co Kazimierz Wielki uczynił układem w Wyszehradzie 1335 r., odstępując Pomorze krzyżakom?

Gdybyśmy zresztą wszyscy z powodu nieprzyjemnego sąsiedztwa z hakatystami opuszczali posterunki, to cóż by się z kresami kaszubskimi stało?

Z uznaniem też podnosimy, że część opinii publicznej z Kurjerem Poznańskim na czele od początku wystąpiła stanowczo przeciw bojkotowi Sopotu. Żywimy też i w interesie Kaszub nadzieję, że część tej opinii nareszcie zwycięży.

Na razie mogłoby się wydawać, jakoby zwolennicy bojkotu mieli słuszość. Kiedy bowiem komornicy sądowi w Sopocie jeli przepowiadać ogólną plajtę, a mieszkania właściceli wil świeciły pustkami, nuże niemieccy Sopocanie na tamtejszą grupę hakatystów, że wystraszeniem Polaków własnych ziomków rujnują. I jak zawsze, interes pieniężny zwyciężył sprawę „ratowania“ niemieczyzny. Dowodem tego ciekawa zarazem i wesola odezwa zarządu grupy lokalnej Sopockiej związku dla kresów wschodnich [Ostmarkenverein], zamieszczona w dodatku do nr. 107 Danziger Neueste Nachrichten z d. 8 maja rb.

Po długim wstępie, najeżonym fantastycznym gadaniem o wrogich zamiarach Polaków, dążących rzekomo do oderwania od państwa pruskiego już nie tylko prowincyi polskich, ale całej polaci od prawego brzegu Odry na Wschód, po karkołomnym uzasadnieniu ustawy o wywłaszczeniu, następuje właściwy cel, — bardzo pokorne oświadczenie: „... grupa lokalna Sopocka wyraża życzenie, ażeby mieszkańcy Sopotu, przeważnie duchem narodowo-niemieckim ożywieni, którzy w przemyśle szukają źródło swego utrzymania, w lecie przyszłym jako i w dalszej przyszłości, przez możliwie liczne przybywanie gości kąpielowych i innych, czy to Niemców czy Polaków, znaleźli obfity zarobek — i oświadcza, że naprzeciw tym ostatnim w żaden sposób przykro się nie postawi. [Wird letzteren in keiner Weise störend entgegen treten.] Grupa lokalna Sopocka uważa za rzecz naturalną, że ze strony administracyi miejskiej tak samo, jak i ze strony mieszkańców wszystko się uczyni, co bez zaparcia się niemieckości uczynić można, ażeby szczególnie Polakom, szukającym tu wytehnienia lub rozrywki, pobyt uczynić przyjemnym ...“

Współczujemy grupie lokalnej Sopockiej »Ostmarkenferajnu“,

uprzytomniwszy sobie, ile potu i zgrzytania zębów musiało to ją kosztować, nim przeszła przez jarzmo kaudyńskie i zdobyła się na takie uprzejme zaproszenie znienawidzonych Polaków w granice zagrożonego rzekomo przez nich państwa pruskiego. A jakżeż to będą świecić oczyma w przyszłym „dniu niemieckim!” Co to nie może business!

Cała sprawa w każdym razie dowodzi, że na gruncie Sopotkim zbiega się interes nasz z interesem miasta i jego ludności. Wobec tego i hakatyzm ustąpić musiał na plan drugi. Jesteśmy też zdania, że skutek taki byłby się dał osiągnąć i bez bojkotu kosztem o wiele tańszym. Nie ulega bowiem wątpliwości, że przez bojkot i Polacy ucierpieli, szczególnie kielkujący przemysł polski w Sopocie został cofniętym o szereg lat wstecz.

Co się atoli stało, to się nie odstanie. Mamy nadzieję, że w bieżącym roku przybędą rodacy liczniej niż kiedykolwiek na brzeg polski Bałtyku. A jeżeli obok tego znajdą czas odwiedzać Kaszuby w głębi prowiny, będą o sobie mogli powiedzieć: Pro patria est, dum ludere videmur.

Kwestya kaszubska a Rosyanie. Dziwna rzecz, ci sami Rosyanie, którzy głównie się przyczynili do upadku Polski, pierwsi zwrócili uwagę na szczerp kaszubski, tworzący jej dostęp do morza. Podczas kiedy nawet w sąsiedniej Wielkopolsce, nie mówiąc o dalszych dzielnicach, nie wiadano o wiernym ludzie, trzymającym straż nad Bałtykiem, w pierwszej połowie XVIII stulecia zawiązały się stosunki świata naukowego rosyjskiego z pastorem gdańskim Mrongowiuszem czyli Mrągą, i to po wyjściu z druku w r. 1823 Słownika polskiego Mrongowiusza, poświęconego przez autora ks. Adamowi Czartoryskiemu. Dwa lata później rosyjski uczoney Keppen umieścił (w czerwcu 1825 r.) wzmiankę o Słowniku Mrągi w „Bibliograficznych Listach“ (Nr. 18, str. 250—251) *) i zwrócił uwagę na „uzasadnione życzenie gdańskiego uczonego, aby który z językoznawców przyjął na siebie pracę zwiedzenia wszystkich wsi kaszubskich i zebrania ginących powoli z oblicza ziemi resztek s t a r o - w e n d y j s k i e g o języka, używanego przez tak zwanych K r a b a t k ó w.“ (Ma być: Kabatków. Red.)

Zdaje się, że Keppen w tym razie Kabatków nie liczył do

*) Patrz W. A. Franczew, Słowiańskie zamietki. Warszawa 1908.

Kaszubów.

Już 23 lipca pisze hr. Rumiańców do Mrągi, przesyłając zarazem 200 rubli na cele podróży po Kaszubach i zebranie wiadomości co do języka i obyczajów kaszubskich. W tym samym czasie przewodniczący rosyjskiej Akademii Nauk A. S. Sziszkow-wnosi się listownie z Mrągą w sprawach językowych. Od tego czasu aż do śmierci Cejnowy nie ustaje kontakt pomiędzy światem uczonym rosyjskim a wybitnymi działaczami na Kaszubach. W r. 1839 odwiedza Kaszuby rosyjski lingwista Piotr Iwan Prejs, obcując w Gdańsku z pastorami Mrągą i Borkowskim. Latem r. 1856 odwiedza Kaszuby młody sławista Hilferding w towarzystwie Cejnowy i Jana Papłońskiego. Cejnowa sam zaś był uczestnikiem zjazdu Słowiańskiego, odbytego w Moskwie r. 1867. Stosunki Rosyan z Cejnową trwały aż do jego śmierci. Ale nawet ze śmiercią Cejnowy nie urwały się stosunki pomiędzy Rosyanami i Kaszubami. Cesarska Akademia Nauk w Petersburgu wydała w ostatnim czasie pracę bawiącego od szeregu lat na Kaszubach lingwisty dr. F. Lorontza, pomiędzy którymi „Slovinzische Grammatik“*), „Slovinzische Texte“ i nieukończony dotychczas „Slovinzisches Wörterbuch“ są wprost pomnikami dziełami. — Tyle gołe fakty.

Zaraz atoli od początku zainteresowania się Kaszubami ze strony Rosyan zauważyć się daje wśród odłamu społeczeństwa na Kaszubach podejrzliwa opozycja przeciw takiej niby opiece. Nie dziw. Rosya odegrała wobec Polski rolę grabarza. Nie dowierzano więc i uczonym rosyjskim, chociażby ich zamiary były rzeczywiście czysto naukowymi. Wskutek takiego sposobu myślenia działacze kaszubscy, którzy weszli w stosunki z Rosyanami, nie uszli posądzeń, jakoby zaprzędawali ojczyznę Rosyi i byli odszczepieńcami sprawy polskiej. Takie zarzuty padły przedewszystkiem pod adresem Mrągi i Cejnowy, a świeżo znalazły wyraz w omówionej przez nas już w I nr. „Gryfa“ broszurze Kościńskiego, zatyt. : „Idea słowiańska na Kaszubach.“

Dla braku materiału dowodowego nie mogliśmy wówczas, omawiając broszurę Kościńskiego, wystąpić przeciw szczegółom, rzucającym tak ujemne światło na Mrągę i Cejnowę. Nadesłana nam atoli przez autora, p. W. A. F r a n c e w a broszura „Słowiański je z a m i e t k i“ daje nam pewien materiał do ręki w celu odpar-

*) Slovinzisch - słowiński. Słowińcami zwią się najdalej na zachód wysunięci Kaszubi, mieszkający nad ujściem Łupawy.

cia zarzutów, wymierzonych wobec wymienionych obu pisarzy. Oczywiście Franczew broni przeciw twierdzeniom, w broszurze Kościńskiego zawartym, w pierwszym rzędzie rosyjski świat uczony, i to przed zarzutem, jakoby Rumiańców, Sziszkow, Keppen, P. J. Prejs mieli inne zamiary na Kaszubach, prócz czysto naukowych. A wywody jego, jak na wiasem dodajemy, naszym zdaniem mają rację za sobą. Trudno bowiem rozumieć, jakie cele polityczne mogliby mieć Rosyanie na Kaszubach, oddzielonych od Rosyi Litwą i krajem pomiędzy Niemnem i ujściem Wisły.

Dla nas przedewszystkiem jest ważnym, że z upadkiem zarzutu dążeń politycznych ze strony Rosyan względem Kaszubów, upada i ciężki zarzut przeciw Mrądze i Cejnowie, jakoby ojczyznę zaprzędawali Rosyi.

I zarzut ten ubił naszym zdaniem Franczew broniąc rosyjskich uczonych.

Jakżeż bowiem wątpić o patriotyzmie polskim Mrągi, jeżeli on przesyłając księciu Adamowi Czartoryskiemu pierwszą część swego słownika polsko-niemieckiego, pisze tak: *Zyczę*, żeby praca moja oczekiwaniom Pańskim odpowiedziała, którą starałem się nie tylko potrzebom obydwóch narodów z sobą obcujących dogodzić, lecz oraz całkowitemu upadkowi mowy ojczystej tu zapobiedz! *)

Rosyjski lingwista Piotr Iwan Prejs w liście z Berlina z dnia 27 kwietnia 1840 tak się o nim wyraża: „Z uczonych z zadowoleniem wspominam szlachetnego starca, zwiącego się Mrongowiuszem, znanego polskiego leksykografa. Jestem jemu bardzo obowiązany względem osiągnięcia swego celu. Miłość jego do swego przedmiotu przewyższa wszelki wyraz.“ (Ljubow jego k'swojemu przedmiotu przewyższajet wsjakoje opisanie.) **)

(Dokończenie nastąpi.)

*) W. A. Franczew. Sławiańskie zamietki, Str. 6. **) Patrz tamże.